№ 11 25 MARCA 1929

CENA 50 GROSZY

PRZEŁOM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK IV

SYNDYKALIZM I SYNDYKALIZMY

Nie jest dla nas rzeczą obojętną, czy państwo syndykalne zostanie ustanowione przez ruch mas zorganizowanych, organicznie rozwiązując kwestję socjalną przez usunięcie przyczyn, które powodują istnienie walki klas w produkcji, czy też zupełnie podobny mechanizm państwowy zostanie społeczeństwu narzucony na gruncie dzisiejszego ustroju gospodarczego, społecznego i moralnego przy czynnym udziale „interesów" egoizmu gospodarczego, ratującego w ten sposób zagrożone dziś pozycje.

Dyskusja, jaką miałem zaszczyt wywołać w T-stwie Prawa Państwowego swym odczytem na temat syndykalizmu, świadczyła o niezwykłem pomieszaniu pojęć w tej dziedzinie, wywołanem przez używanie w różnych znaczeniach i nieraz bez potrzeby tego Bogu ducha winnego, a modnego obecnie wyrazu. Sam więc wyraz ściągnął na siebie nieuzasadnioną niechęć; poznanie samej rzeczy wymyka się natomiast umysłowości ludzi nawet głębokich, bystrych i będących niepospolitymi znawcami zagadnień prawnych i gospodarczych. Cała trudność w tem, że syndykalizm w swych krajach macierzystych (Francja i Włochy) już dawno rozdzielił się na szereg strug; istnieją dziś różne syndykalizmy, podobnie jak istnieją na świecie różne socjalizmy; to zaś, co im jest wspólne, jest nieuchwytne dla ludzi nie znających dziejów prądu syndykalistycznego. Idea utoruje sobie mimo wszystko drogę; podczas gdy w Niemczech niema mowy dotąd o istnieniu prądu syndykalistycznego, a w Anglji (z powodu tej samej niechęci do wyrazu) przyjął się on pod maską innej nazwy jako „socjalizm gildyjny", Polska dzięki rewolucji majowej wyłania z żywych warstw narodu własny syndykalizm, który ma wszelkie dane, aby kształtować ideologję nadchodzącego pokolenia. Aby ruchowi temu usunąć z drogi niepotrzebne trudności należy wybrnąć z dzisiejszego pomieszania pojęć. Pragniemy więc w dzisiejszym artykule pokusić się o ustalenie, co jest istotą wszelkiego syndykalizmu, następnie przeprowadzić rozróżnienie między takim syndykalizmem, a pozornie zbliżonemi kierunkami, wreszcie określić, co nadaje własne, odrębne oblicze syndykalizmowi polskiemu.

Co łączy syndykalistów francuskich z r. 1905 i z roku 1928? Tamtym Yvetot i inni zelanci nadawali **radykalnie - antypaństwową** psychikę, co przejawiało się przedewszystkiem w skrajnym **antymilitaryźmie.** Instytucje republikańskie były potępione, jako hamulec na drodze do wyzwolenia proletarjatu, syndykalizm występował w opozycji do „demokracji". Dziś C. G. T. przed wyborami do parlamentu każdorazowo ustala swój program minimalny, bardzo **realistycznie** pojęty, pozwalając na kokietowanie siebie przez stronnictwa; nietylko przez socjalistów S. F. I. O., którzy przynajmniej na fasadzie są rewolucjonistami, ale i przez radykałów, którzy byli, są i będą stronnictwem **burżuazyjnem.** We Włoszech jeszcze większy przeskok od radykalnych i anarchistycznych organizatorów rewolucji społecznej, do Rossoniego, członka „Wielkiej Rady" faszystowskiej i jego sztabu, gloryfikującego fuzję klas w państwie Mussoliniego. Świat syndykalistów jest światem głębokich i tragicznych kontrastów.

W kilku poprzednich zdaniach zawarta została jednak już i odpowiedź na postawione pytanie. I we Francji i we Włoszech niewątpliwie można stwierdzić w syndykaliźmie kontynuację idei, organizacji, jednostek działających. I tu i tam ruch ten przeżył rozłamy i wstrząsy, we Francji rozbił się na odłam komunistyczny i na odłam stojący na gruncie republiki parlamentarnej, które odtąd napróżno i nieszczerze deklarują chęć odbudowy poprzedniej jedno-

ści; jeszcze większy był rozłam we Włoszech między starą C. G. L. i nową „narodową" konferencją (faszystowską), która zlikwidowała tamtą, posługując się jak wiadomo terrorem. Wszystkie prądy rewolucyjne znają takie rozbicia i gwałtowne walki między niedawnymi przyjaciółmi. Kontynuacja wyraża się przedewszystkiem w istnieniu organizacji zawodowej, tej samej pomimo rozłamów i przełomów, złożonej z tych samych ludzi, reprezentującej to samo środowisko, tę samą klasę społeczną. Syndykalizm to w pierwszym rzędzie ruch robotniczy; dodajmy — ruch robotniczy pozapartyjny i antypartyjny i z tego powodu zwalczający socjalizm polityków; jeżeli w walce tej Rossoni i towarzysze wpadają w objęcia partji faszystowskiej (należałoby to zdanie napisać inaczej: jeżeli w walce tej część syndykalistów włoskich staje do dyspozycji Mussoliniego i tworzy wraz z nim partję faszystowską i rewolucję faszystowską), to punkt wyjścia jest dla nich ten sam, jak dla Monmousseau i towarzyszy, którzy stają na gruncie Trzeciej Międzynarodwóki, jak dla Jouhaux i towarzyszy, którzy porzucają rewolucyjną taktykę. Wszyscy oni nie wypierają się ani swej przeszłości, ani swych idei, wszyscy zachowują wiarę w to, że przyszłość klasy pracującej związana jest tylko z syndykalizmem.

Syndykalizm istnieje tam, gdzie istnieje ruch robotniczy syndykalistyczny, dlatego istnieje on we Francji związany z dziejami jednolitej C. G. T. przed wojną, a rozbitej po wojnie (a zwłaszcza z dziejami C. G. T. odbudowanej przez Jouhaux i poprowadzonej na tory współdziałania z państwem Trzeciej Republiki) i we Włoszech, opierając się na C. G. L. w państwie liberalnem z przed r. 1922, na faszystowskiej C. G. L. w państwie rewolucji faszystowskiej. Poza temi środowiskami istnieje syndykalizm, jako zjawisko wtórne, jako refleksy syndykalizmu robotniczego, pojawiające się zwłaszcza w tych momentach, w których napór jego na państwo i na produkcję jest szczególnie silny, albo też w których państwo liberalne i produkcja liberalna przechodzą okresy rozkładu. O przykłady nietrudno: r. 1920, to wielki rozwój C. G. T., która, zdaje się, już zaraz opanuje państwo; nic dziwnego, że w tym czasie Loucheur i inni quasi-lewicowi parlamentarzyści galwanizują organizację pracodawców szumnie nazwaną C. G. P. **(de la Production)**, że tworzy się inteligencka C. G. T. I. (jej kopją jest nasza Konfederacja Pracowników Umysłowych), że de Jouvenel lansuje syndykalizm („odkażony" z rewolucjonizmu) w „Matin'ie" (!) a Duguit tworzy mu teorję prawno - państwową. W r. 1925 bankructwo idei „demoliberalnej" w kartelu lewicy przynosi wielki wzrost różnych syndykalizmów, a przedewszystkiem Georges Valois, opuszczając środowisko monarchistyczne, propaguje koncepcje syndykalizmu faszystowskiego. Od ostatniego roku zaczyna się schyłek „poincaryzmu"; republika parlamentarna jest znowu zagrożona, nic więc dziwnego, że wyrastają przeróżne syndykalistyczne programy. Do syntezy daleko, ale punkt wyjścia jest zawsze taki sam; tkwi on w przedwojennym sorelowskim ideale samorządu wytwórców, potępiających niemoralność przedsiębiorstw partyjno - politycznych, aby samodzielnie zawładnąć produkcją i zorganizować ją na nowo.

Tam gdzie tego punktu wyjścia niema, tam niema syndykalizmu. Niema go więc tam, gdzie pojawiają się t. zw. korporacjonizmy, jako idee wprowadzenia reprezentacji „interesów gospodarczych" do państwa, **bez opierania się na spontanicznym ruchu mas.** Nie chodzi o sam wyraz, ale o jego treść. Sam wyraz przenosi nas w średniowiecze, każe przypominać, że w średniowiecznem społeczeństwie organizacja wytwórców opierała się na istnieniu przywilejów, nie mających uzasadnienia w samej technice produkcji, a wypływających z teokratycznego poglądu na świat. Ale przykład gildystów angielskich świadczy, że można bez uszczerbku dla samych poglądów, ukryć je pod tradycyjną etykietą. Treść wkładana w koncepcje korporacjonizmu nie da jednak pogodzić się z żadnym wogóle syndykalizmem. Syndykalizm, opierając się na ruchu masowym, dąży do samoistnego rozwiązania kwestji społecznej, bez względu na to czy marzy on o „wielkim wieczorze" przewrotu, czy też zadawala się stworzeniem stosunków prawnych między klasami, istniejącemi w dzisiejszym ustroju gospodarczym. Korporacjonizmy natomiast zabezpieczają tylko interesy dzisiejszych t. zw. „sfer gospodarczych", jeżeli zaś wciągają w swój plan organizacyjny reprezentacje robotnicze, to tylko dlatego, aby przy ich pomocy montować machinę arbitrażu w konfliktach, dzięki której kapitał mógłby uchronić swój stan posiadania przed naporem pracy. Społecznym dążeniom syndykalizmu przeciwstawia się anty-społeczna treść systemów korporacyjnych, jako próba ratowania świata interesów liberalno-materjalistyczno - egoistycznych przy pomocy środka, który patynę dawności łączy z tą zaletą, że do złudzenia przypomina prawno - państwową treść nowych prądów. Jako jeden z pierwszych czasowo reprezentantów polskiej myśli syndykalistycznej otwarcie pragnę stwierdzić, że z tem wszystkiem syndykalizm niema nic wspólnego. Nie jest dla nas rzeczą obojętną, czy państwo syndykalne zostanie ustanowione przez ruch mas zorganizowanych, organicznie rozwiązując kwestję socjalną przez usunięcie przyczyn, które powodują istnienie walki klas w produkcji, czy też zupełnie podobny mechanizm państwowy zostanie społeczeństwu narzucony na gruncie dzisiejszego ustroju gospodarczego, społecznego i moralnego przy czynnym udziale „interesów" egoizmu gospodarczego, ratującego w ten sposób zagrożone dziś pozycje.

Syndykalizm polski zasługuje na tę nazwę, gdyż opiera się on już dzisiaj na własnej organizacji robotniczej, istniejącej poza środowiskami partyjno - politycznemi i dążącej do tego, aby wpływami swemi ogarnąć ruch zawodowy mas pracujących. Posiada on własne koncepcje rozwiązania kwestji społecznej, którym niejednokrotnie dawał wyraz „P r z e ł o m", albo „S o l i d a r n o ś ć P r a-

c y". Że odrzuca on mit „wielkiego wieczoru" rewolucji socjalnej i dąży do ewolucyjnego rozwiązania kwestji społecznej, nie przynosi mu to ujmy; pozostaje on mimo to prawdziwym syndykalizmem. Związany ściśle genetycznie i ideowo z Rewolucją Majową, jej zawdzięcza on swoje mity i tę rewolucyjną psychikę, tworzącą przełom w umysłowości i moralności polityczno - społecznej, bez której nie można sobie wyobrazić ruchu syndykalistycznego. Treścią Rewolucji Majowej jest organizowanie ludności w ramach Państwa. Syndykalizm polski w odróżnieniu od ruchu przedwojennego we Francji negującego państwo, do czy też od syndykalizmów powojennych pertraktujących z niem, jest więc w całej pełni ruchem państwo tworzącym i podtrzymującym. Osiąga on ideał, żywiony także przez syndykalizm faszystowski, w sposób jednak doskonalszy, pozostając ruchem n i e z a w i s ł y m i s p o n t a n i c z n y m, któremu nie grozi zgubny wpływ oligarchji partyjno - politycznej, ani też perspektywa przemiany w ciasny korporacjonizm. Walczymy o to, aby Polska stała się klasycznym krajem syndykalizmu, jako prądu **głęboko ludzkiego i demokratycznego,** opierającego na nowych podstawach cywilizację i produkcję w narodach, na które rozdzielona jest pracująca ludzkość.

K. Zakrzewski

DONIOSŁOŚĆ PROCESU KONCENTRACJI PRZEMYSŁOWEJ DLA ROZWOJU ROLNICTWA

Proces koncentracji i kartelizacji przemysłu w Polsce jest nieuchronnym. Zwalczać go byłoby ze względów państwowo-gospodarczych niecelowem i nieracjonalnem, słusznem natomiast jest wytyczenie kierunku rozwoju i ograniczenie możliwości nadużyć, w czem głos zabrać winno rolnictwo.

Klasyczna teorja ekonomji politycznej przewidywała dwojaką tendencję rozwoju cen. Płody rolne, przedewszystkiem zboże, miały wzrastać w swej wartości na skutek konieczności — spowodowanej stale postępującym wzrostem ludności — zajęcia pod uprawę gruntów mniej urodzajnych lub intensyfikacji produkcji na gruntach już uprawianych. Natomiast ceny fabrykatów przemysłowych, dzięki ciągłemu doskonaleniu się techniki, miały się obniżać. W konsekwencji z jednej strony rozpiętość pomiędzy ceną surowca a wytworzonego zeń fabrykatu miała maleć, z drugiej strony siła nabywcza rolnictwa w stosunku do artykułów przemysłowych miała wzrastać, powodując przewłaszczenie na rzecz rolnictwa części dochodu społecznego w postaci renty. Wnioski powyższe wyciągane były przy założeniu istnienia wolnej konkurencji, które to założenie było nietylko teoretycznem uproszczeniem rozumowania, ale i właściwem odzwierciedleniem stosunków gospodarczych wieku XIX.

Sytuacja dzisiejsza jest odmienna.

Okres powojenny w zakresie organizacji gospodarstwa społecznego zaznacza się zwiększonem tempem kartelizacji i trustowania przemysłu. Powyższe zjawisko rozpatrywane było w literaturze ekonomicznej prawie wyłącznie na płaszczyźnie bądź procesów zachodzących w danej gałęzi przemysłu kartelizującego się, bądź jako zagadnienie stosunku pomiędzy poszczególnemi przemysłami, — wreszcie badano je z punktu widzenia interesów robotnika i konsumenta. Bardzo mało stosunkowo poświęcono uwagi doniosłości rozwoju procesu koncentracji i kartelizacji przemysłu dla produkcji rolnej. Powstanie jednak nowych form organizacyjnych przemysłu, zmiana warunków realnych w stosunkach gospodarczych przemysłu i rolnictwa, wysuwa pytanie, jaką doniosłość posiada proces ten dla rozwoju rolnictwa, czy jest w skutkach dodatnim czy ujemnym, pożądanym czy niepożądanym, czy ma być ze strony rolnictwa traktowany przychylnie, obojętnie, czy też ma być zwalczany.

Dzisiejszy system i technika produkcji w rolnictwie bardzo ściśle wiąże je z postępem przemysłu. Istota problemu tkwi we **właściwym stosunku cen płodów rolnych do cen fabrykatów przemysłowych,** zwłaszcza tych, które są podstawowemi dla produkcji rolnej (nawozy sztuczne, maszyny i t. p.).

Rozpatrzmy powyższy problem na tle zmian zachodzących w strukturze przemysłu i rolnictwa. Produkcja rolna ze względu na ogromne rzesze producentów nie będzie mogła nigdy zostać skartelowaną a ceny wytworów warsztatów rolnych będą utrzymywane na gospodarczo-racjonalnym najniższym poziomie, innemi słowy ceny płodów rolnych będą regulowane na skutek działania automatyzmu procesów, a nie będą mogły być dowolnie podwyższane. Inaczej przedstawia się sprawa w dziedzinie przemysłu. Koncentracja i kartelizacja przemysłu pozwala na stwarzanie monopolu faktycznego i śrubowanie cen na możliwie najwyższy poziom. W ten sposób w procesie wymiany fabrykatów przemysłowych na płody rolne część dochodu społecznego, należna rolnictwu, zostanie przewłaszczona na rzecz skartelowanego przemysłu.

Kartelizacja przemysłu i handlu podwójnie uderza w rolnictwo: przy zakupie i przy zbycie.

Kartelizacja takich działów przemysłu jak nawozów sztucznych, żelaza, maszyn etc. pozwalając na podwyższenie ceny, podraża nakład produkcyjny roli. Z drugiej strony kartelizacja takich działów przemysłu, jak młynarstwa, przetworów mięsnych, cukru, kartelizacja handlu trzodą i bydłem, pozwala na stosowanie możliwie niskich cen zakupu produktów rolnych, tem samem powoduje znów przewłaszczenie części dochodu społecznego przynależnego rolnictwu.

W problemie ceny i warunków zbytu — zakupu tkwi główne niebezpieczeństwo, jakie z kartelizacji przemysłu wynika dla rolnictwa.

Zagadnienie stosunku przemysłu do rolnictwa, stosunku mającego jako swój wykładnik — cenę, nie jest tylko problemem teoretycznym, ani problemem chwili obecnej, lecz jest to również doniosłem ze względu na przyszłą

ewolucję gospodarczą Europy. Europa, będąca przed wojną warsztatem przemysłowym świata, po wojnie zmalała w swem znaczeniu i jako producent i jako kontrahent w obrotach międzynarodowych.

Wytwórczość Europy wyniosła:

	1913 r.	1926 r.
	w %% wielkości światowej	
przemysł bawełniany—ilość wrzecion	68.9	62.8
przemysł maszynowy — produkcja	46,7	37,5
przemysł elektrotechniczny — produkcja	67.8	47.8

Przyjmując 1913 r. za 100 otrzymamy dla handlu zagranicznego w 1925 r. następujący indeks:

	Europa	Ameryka Półn.	Azja
Przywóz	94	138	125
Wywóz	87	135	150

Okres obecny można scharakteryzować jako gospodarstwo przejściowe — odbudowująca się i wzmacniająca pod względem gospodarczym Europa korzysta z dopływu kapitału zagranicznego, który to dopływ umożliwia poprawę stosunków gospodarczych.

W okresie, kiedy z okresu gospodarstwa przejściowego Europa przejdzie do okresu gospodarstwa ufundowanego i rozpocznie się okres spłaty zaciągniętych kredytów, wysunie się z całą jaskrawością pytanie, które i dziś postawić należy, jaki z odłamów gospodarstwa narodowego weźmie tu udział, eksportując własne wytwory. Niewątpliwie, że znaczna część ciężaru spadnie na przemysł, który będzie musiał zdobywać rynki obce taniością i jakością swych wyrobów. Jeżeli przemysł nie wykorzysta należycie okresu gospodarstwa przejściowego i nie zmodernizuje się, to w okresie spłaty wystąpią dwa zjawiska:

1) albo przewlekłe bezrobocie, które pozwoli na zmniejszenie przywozu, mniejszy zbyt własnych płodów rolnych na rynku wewnętrznym a większy udział rolnictwa w eksporcie,

2) albo dumping, pokrywający straty eksportowe zwyżką ceny wewnętrznej, co uderzy w rolnictwo.

Jak wiadomo, kartele nie są pionierami postępu techniki, przeciwnie raczej ją hamują, zachodzi więc obawa, że korzystając z wyjątkowych warunków rynku wewnętrznego będą nadal zeń korzystać, opóźniając się w tempie modernizacji.

Prawodawstwo państw zachodnich, w zrozumieniu konieczności ujęcia w należyte granice działalności karteli, wysunęło 3 normy prawne:

1) możność ingerencji w dziedzinie cen,

2) jawność i kontrolę działalności,

3) możność likwidacji karteli.

Normy te mają zabezpieczać gospodarstwo społeczne przed nadużyciem przewagi gospodarczej karteli, pozwalając na przejawianie działalności w skutkach dodatniej: organizacji handlowej, dalej idącego podziału pracy, likwidacji swych warsztatów etc. W stosunkach polskich dziwną wydaje się obojętność z jaką dotychczas sprawę tę traktowano, zwłaszcza ze strony rolnictwa. Zapewne przyczyną było małe spożycie fabrykatów przemysłowych przez rolnictwo i niewielkie stosunkowo skartelizowanie przemysłu. Obecnie coraz bardziej oba procesy postępują naprzód, wyjaskrawiając całe zagadnienie. Sprawa cen fabrykatów przemysłowych nie jest obojętną dla rolnictwa i zdaje się, że jest ono przedewszystkiem zainteresowane w unormowaniu działalności naszych karteli. Dwa tu istnieją środki: ingerencja rządu i samoobrona rolnictwa. Ingerencja Rządu może przejawiać się w wykonywaniu ustawy kartelowej, w której wydaniu rolnictwo jest przedewszystkiem zainteresowane. Samoobrona rolnictwa polegałaby na centralizacji zakupu artykułów przemysłowych — tu pole do działalności miałaby spółdzielczość. Należy jednak zaznaczyć, iż ze względów organizacyjnych, będzie to droga na razie mało efektywna, tem nie mniej nie jest to powodem, by na nią nie wstąpić.

Ostatnim problemem do zbadania jest kwestja czy istnieje zasadnicza rozbieżność pomiędzy potrzebami rolnictwa a koncentracją przemysłu.

Możnaby wyjść z założenia, iż w interesie rolnictwa jest rozproszenie i decentralizacja przemysłu, utrudniająca z natury rzeczy kartelizację. Sądzę, że momentem tu decydującym są środki komunikacyjne. Dobrze rozwinięta sieć taniej komunikacji powodować będzie zanikanie drobnych warsztatów, a tworzenie się nielicznych dużych, które dzięki temu łatwo będą mogły tworzyć porozumienia — kartele. Wskutek rozwoju sieci komunikacyjnej w Polsce zapewne niejedna gałąź, pracująca dziś w atmosferze wolnej konkurencji, przekształci się w kartel (np. młynarstwo). Ale rozwój sieci komunikacyjnej jest również w interesach rolnictwa, które, uzyskując tańszy transport swych wytworów, będzie mogło intensyfikować produkcję. Proces więc koncentracji i kartelizacji przemysłu w Polsce jest nieuchronnym Zwalczać go byłoby ze względów państwowo-gospodarczych niecelowem i nieracjonalnem, słusznem natomiast jest wytyczenie kierunku rozwoju i ograniczenie możliwości nadużyć. W tej sprawie rolnictwo powinno zabrać głos.

A. K. I.

PROJEKTY BUDOWLANE

Zgłoszony przez rząd do laski marszałkowskiej w końcu lutego r. b. projekt ustawy o popieraniu budowy tanich mieszkań napotkał w opinji publicznej znaczny sprzeciw. Z dotychczasowego przebiegu dyskusji publicznej (na łamach prasy, na zjazdach, w samorządzie miejskim i t. d.) jest widoczne, że opinja potraktowała ten projekt pod kątem widzenia dość jednostronnym, bo przedewszystkiem w płaszczyźnie równowagi budżetów lokatorskich. Dodatkowo dołączył się do tego czynnik t. zw. walki z etatyzmem, który oskarżył projekt rządowy o zbytnie poddanie akcji budowlanej inicjatywie i kontroli państwa.

Sprobujmyż przyjrzeć się zagadnieniu bezstronnie i o ile się to da w ramach krótkiego artykułu — wszechstronnie.

*

Faktem, odczuwanym zupełnie dobitnie i niewątpliwie, jest kryzys mieszkaniowy w Polsce. Nie potrzeba tego ani omawiać ani udawadniać Mieszkamy ciasno, niehygjenicznie, niekulturalnie. Zdobycie mieszkania jest niedostępne dla ludzi, nie mogących dysponować tysiącami. Przyrost naturalny pogarsza tę sytuację z roku na rok. Zagranicą zaludnienie mieszkań mniejwięcej wynosi 1 osobę

na izbę. Według zaś spisu ludności z 1921 r. było np. w miastach woj. łódzkiego przeszło 40,000 mieszkań, gdzie w jednej izbie mieszkało 3 — 4 osoby, 27,000 mieszkań jednoizbowych, zaludnionych po 5 — 7 osób w izbie! W woj. kieleckiem było 20.600 mieszkań jednoizbowych o „gęstości zamieszkania" 3 — 4 osób w izbie, a 18.000 izb mieściło po 5 — 7 osób!

To są stosunki straszne!

Od tego czasu bardzo niewiele się zmieniło. Ruch budowlany ciągle drzemał i dotychczas jeszcze drzemie. Bardzo wiele mówiono i pisano o przyczynach tego stanu rzeczy oraz o środkach zaradczych, a jednak budownictwo mieszkaniowe ciągle jest w letargu.

*

Jakiż jest bilans tego stanu rzeczy?

Obliczenia wykazują, że Polsce brak obecnie (zaległość) około 500.000 izb mieszkalnych, oraz że bieżące roczne zapotrzebowanie (dla wyrównania przyrostu naturalnego) wynosi cca 70.000 izb rocznie. W liczbach kapitału — przy kosztach budowy jednej izby około 6000 zł. (choć są znawcy, którzy koszt ten szacują na około 7 tys. zł.) — zaległość wynosi okrągło około 3 miljardów zł. Bieżące zaś roczne zapotrzebowanie kapitału na budownictwo bieżące wynosiłoby około 450 miljonów zł.

Są to liczby, które wzbudzają ogromem swoim mimowolny szacunek, a nawet powiedzmy to sobie otwarcie — wzbudzają lęk: Przecież to nie chodzi o miljardy marek, ale o złotówki, których jest ciągle tak mało.

Inaczej więc nieco wygląda gospodarczy bilans ubiegłego dziesięciolecia, skoro się uwzględni ten poważny deficyt, jaki istnieje w budownictwie mieszkaniowem. I rychlej czy później muszą być podjęte wysiłki nad załatwieniem sprawy tego deficytu.

Jest to właśnie imperatyw, który tkwi w problemie ruchu budowlanego.

*

Inicjatywa prywatna?

No, zapewne! Wszakże setki lat sprawa budownictwa regulowała się właśnie drogą działania czynnika inicjatywy prywatnej. I nie może ulegać żadnej wątpliwości, że byłoby najlepiej, gdyby i nadal czynnik ten kwestje te poruszał i normował.

Ale ta inicjatywa prywatna zawodzi. Zazwyczaj wskazuje się tutaj na ochronę lokatorów, jako na czynnik, który spłoszył i płoszy wciąż tę inicjatywę. Ale to są sądy powierzchowne, uproszczone i niesłuszne. W nowych domach ochrony dziś niema, czynsz można brać dowolny, nieusuwalności lokatorów niema, i cóż? Nikt jakoś nie kwapi się do budownictwa, a przynajmniej — nie kwapi zbytnio. W III kwartale r. ub. rozpoczęto w zakresie budownictwa prywatnego w miastach zaledwie 464 budynków mieszkalnych. W tymże okresie wykończono zaledwie 2,000 izb, co w proporcji rocznej daje 8 — 10 tysięcy izb, gdy bieżący deficyt wynosi według powyżej przytoczonych obliczeń około 70 tysięcy izb rocznie. Tak więc budownictwo prywatne wyczerpuje zaledwie 15 proc. zadań naszych w zakresie ruchu budowlanego.

Jaka jest tego przyczyna?

Poprostu to, że wobec drożyzny kapitału budownictwo się nie opłaca. Przeciętni ludzie nie mogą za mieszkania płacić tyle, ile one dziś kosztować muszą!

*

Obliczono, że przy obecnych kosztach kapitału i kosztach robocizny — mieszkanie dwuizbowe (pokój z kuchnią), nawet budowane oszczędnie, musi kosztować miesięcznie (bez światła i opału) około 120 zł. Pytanie więc, gdzie jest dziś człowiek, który przeciętnie mieszka w takiem mieszkaniu (np. robotnik), który mógłby przy dzisiejszej skali zarobków tę sumę płacić? Przecież b. wielu robotników zarabia wogóle po 150 — 200 zł. miesięcznie!

I to jest przyczyna, dla której dziś się nie buduje!

Trzeba więc obniżyć koszta budownictwa. Robocizny obniżyć się nie da. Obniżenie budulca mogłoby iść tylko drogą obniżenia jakości, co należy uznać za niebezpieczne. Pewne redukcje dałaby mechanizacja i standaryzacja pracy budowlanej. Ale główny wysiłek iść musi w kierunku potanienia kapitału. Rządowy projekt, który te kapitały pragnie tworzyć z podatku, nałożonego na lokatorów starych domów, dąży do zmobilizowania funduszów, które kosztowałyby w pracy (łącznie z amortyzacją) tylko 4%!

Rzecz prosta, że dystrybucja tak tanich kapitałów musiałaby być ściśle reglamentowana, bo ileż nadużyć mogłoby się tutaj pojawić. Trzeba byłoby bardzo skrupulatnie baczyć, aby takie kapitały nie poszły na spekulację, jeno istotnie trafiły do rąk tych, którzy dźwignęliby dach nad swemi głowami.

Stąd pewne t. zw. etatystyczne rygory w projekcie rządowym zostały wstawione tylko dlatego, że są konieczne z rzeczowych przesłanek całego projektu.

*

Projekt idzie na znaczne podwyżki komornego. Pomijając mieszkania wielkie, zaznaczmy tylko, iż nprz. dla mieszkania trzypokojowego po roku już podwyżka miesięcznego komornego wynosić będzie 12 proc. Może to wynosić czasem po kilkadziesiąt złotych miesięcznie (od 20 — 40 zł.), co stanowi już obciążenie istotnie bardzo poważne. A przecież będzie to rosło dalej...

Wprawdzie podłożem projektu jest, że i zarobki (dochody) będą wzrastały, ale to jest antycypowanie przyszłości, bo tymczasem płace zarobkowe średniej sfery społecznej wykazują pewną stabilizację. Czy i w jakiej mierze wzrost dochodu ogólnospołecznego pozwoli na podnoszenie skali zarobków, to trudno dziś przewidzieć.

Stajemy tedy wobec trudności. Istnieje mus budownictwa, który zniewala do szukania źródeł taniego kapitału. Podatek zaś, który pozwoliłby stworzyć takie kapitały, napotyka trudność w materjalnej sytuacji ewent. płatników tego podatku.

Wyjście zapewne będzie leżało pośrodku. Niewątpliwie obciążenia lokatorów uniknąć się nie da, musi być ono jednak łagodniejsze. Natomiast trzeba będzie szukać dalszych jeszcze źródeł na te cele. Takie źródła są: będzie to mogło być nprz. dodatkowe obciążenie obrotu artykułami monopolowemi, dodatkowe podatki od obrotu luksusem i t. d. Naturalnie, każdy z tych podatków będzie miał swoich przeciwników, ale przemawiać będzie za nim to, że idzie on na rzecz doniosłą, bezsporną, korzystną — na budownictwo.

*

Bo byłaby jeszcze inna ewentualność: nic nie robić, skoro rzecz sama się nie robi, i czekać zmiłowania Bożego. Nprz. czekać, aż ogólny układ stosunków finansowych

w Polsce doprowadzi do tego, że przeciętna stopa procentowa będzie 3 proc. rocznie i rentjerzy pójdą na lokaty kapitału w budownictwie na 4 proc.

Na takiem stanowisku stoi liberalizm. Ale któż zechce tak długo czekać? I czy wogóle będzie można czekać tak długo?

Jeszcze raz podkreślamy, że problem budownictwa komplikuje się z sezonu na sezon! Mieszkamy wciąż bardzo źle, i nawet coraz gorzej! Dotyczy to podstaw zdrowia społecznego i na fluktach dowolności pozostawione być nie może.

Alfa

W PRZEDEDNIU KODYFIKACJI PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO

Gdy polskie władze ustawodawcze zadecydują ostatecznie o zasadzie sekularyzacji, Kościół, opuszczając w ten sposób niewłaściwie do niego należące tereny świeckie, zdobyć będzie mógł tem większą powagę i uznanie w sferze duchownej i moralnej — dziedzinie życia religijnego.

Przyszły historyk polskiej myśli państwowej i polityczno-społecznej okresu 1927 i 1928 roku będzie się musiał zatrzymać dłużej nad faktem wybitnej przewagi zainteresowań ustrojowych, jaka, czy to w polityce czy publicystyce, niewątpliwie się w tym okresie zaznaczyła. Stan ten powoduje, iż wielkie dzieło naprawy Rzeczypospolitej, absorbując światlejsze umysły, przysłoniło jednocześnie widoki na inne, niemniej ważne zagadnienia bytu państwowego i społecznego.

Wśród prac nad kodyfikacją praw, którą wykonywuje specjalnie w tym celu powołana Komisja Kodyfikacyjna, nieposlednią rolę zajmuje ujednostajnienie praw familijnych, w szczególności prawa małżeńskiego.

Niemal, że od samego początku istnienia Komisji głosy prawników oraz społeczeństwa kładły nacisk na konieczność przyśpieszenia prac unifikacji prawa małżeńskiego. Tak się jednak stało, że pomimo upływu dziesięciolecia istnienia Państwa Polskiego, całokształt praw familijnych do dziś dnia wykończony nie jest i bodajże nawet przedłożony będzie do zatwierdzenia władzom ustawodawczym dopiero po kodeksie karnym, po prawie obligatoryjnem i handlowem, a może i po procedurze cywilnej.

Unifikacja prawodawstwa małżeńskiego w Polsce — to konieczność uwzględnienia faktu obowiązywania przez stulecie zgórą w trzech zaborach całkiem różnych ustaw, to wczucie się w odgłosy życia praktycznego, wykorzystanie doświadczeń ostatniego wieku i wskazań teorji, umiejętne kroczenie za postępem czasu, a jednocześnie wystrzeganie się przed lekkomyślnem łamaniem przyzwyczajeń i tradycyj narodu, mogącem stworzyć kodyfikację li tylko papierową. Pozatem w problemie praw małżeńskich istnieje ta druga, niemniej ważna, strona polityczna medalu, która, wprowadzona do Sejmu i Senatu, odbije się niezawodnie głośnem echem w całem społeczeństwie, podzieli naród na dwa obozy, rozbudzi namiętności i stanie się zarzewiem, oby jak najkrócej trwających walk na podłożu wyznaniowem, w których Kościół Katolicki niewątpliwie do upadłego bronić będzie utraconych pozycyj. I dobrze się stanie, że rozstrzyganie zasadniczych zagadnień: ślubów cywilnych, rozwodów i jurysdykcji kościelnej, nastąpi już po naprawie ustrojowej Rzeczypospolitej, w atmosferze spokojniejszej, w sytuacji dla Państwa pewniejszej, w bardziej skonsolidowanych waunkach życia społeczno-politycznego.

* * *

Z zasad, przez Komisję Kodyfikacyjną dyskutowanych, na plan pierwszy wysuwa się zasada „fakultatywności", czy „obligatoryjności" ślubów cywilnych. Pierwsza z tych koncepcyj głosi, że każde małżeństwo będzie można zawrzeć bądź przed właściwym duszpasterzem, bądź przed urzędnikiem stanu cywilnego. Za tą właśnie zasadą, zredagowaną przez prof. Wł. L. Jaworskiego jeszcze w roku 1920, oświadczyła się większość głosów sekcji prawa cywilnego Kom. Kod. *).

Kompromisowa ta uchwała nie mogła, rzecz oczywista, zaspokoić zwolenników wyraźnego rozwiązania spornych kwestyj i szczególnie spotkała się z ostrą krytyką ze strony członków Komisji, głoszących zasadę obligatoryjności ślubów cywilnych.

Dopuszczalność rozwodów jest drugą kwestją sporną, a zasadniczą, rozstrzygniętą przez Sekcję prawa cywilnego K. K. w myśl wniosków referenta prof. Jaworskiego,

*) V. Prof. Gołąb: Zasady prawa małżeńskiego (z obrad sekcji prawa cywilnego K. Kod.). Palestra Nr. 2, 1925, str. 595 i nast.

O FUNDUSZ DYSPOZYCYJNY MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

Na rzecz funduszu dyspozycyjnego Ministra Spraw Wojskowych, skreślonego przez Sejm i Senat, złożyli w redakcji „Przełomu": Marja i Tomasz Piskorscy— 10 zł.; Jerzy Szurig — 10 zł.; Henryk Stebelski — 5 zł.; Jan Grzywaczewski — 5 zł.; Władysław Zakrzewski — 5 zł.; Stanisław Paprocki — 10 zł.; Franciszek Kajder — 3 zł.; Stefan Kalina — 10 zł.; Henryk Kurnatowski — 10 zł.; Bolesław Srocki — 15 zł.; Stefan Szwedowski — 5 zł.; Gustaw Zieliński — 10 zł.; Zygmunt Tomczak — 5 zł.; Józef Wiśniewski — 5 zł.

Razem — 108 zł.

który zaproponował, by każde małżeństwo , bez względu na to, przed kim je zawarto, mogło być rozwiedzione wobec Państwa. Zasada ta znowu spotkała się z krytycznem przyjęciem u kanonistów (prof. Abrahama ze Lwowa i prof. Brzezińskiego z Krakowa), którzy zgodnie twierdzili, że rozwody możnaby było dopuścić tylko dla niekatolików i to wyjątkowo.

Trzecia kwestja, brzemienna w polityczne spory, to kwestja sądownictwa kościelnego. Tutaj większość głosów uchwaliła, że orzeczenie duchowne w kwestji unieważnienia małżeństwa jest ważne i dla Państwa, przyczem nie powinno się dopuszczać, aby sąd cywilny rozstrzygał ponownie tą sprawę.

* * *

W jakimkolwiekby kierunku poszło nasze przyszłe ustawodawstwo małżeńskie, nie wolno będzie miarodajnym czynnikom zlekceważyć z punktu widzenia państwowego znaczenia instytucji małżeństwa, stanowiącej istotną podstawę naszego bytu społecznego. Autorytet Rzeczypospolitej uznany być winien za wyższy od partykularnych interesów poszczególnych związków religijnych. W zaznaczającej się tutaj kolizji, najpoważniejszym dla Państwa konkurentem w dziedzinie prawodawstwa familijnego, będzie Kościół Katolicki, wedle nauki którego, małżeństwo jest instytucją prawa Boskiego. Atoli już w zamierzchłych czasach historji, bo jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa, zaczyna się utrwalać w *„opinio communis"* przekonanie, że państwo świeckie ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek ingerencji do małżeństwa, instytucji, regulującej rodzinę.

Stąd, ewolucja kultury prawnej poszła w kierunku sekularyzacji prawa małżeńskiego, które rozwijać się zaczęło jednocześnie z uświadomieniem sobie przez kierowników państwa jego praw i obowiązków w stosunku do doniosłej instytucji społecznej, jaką jest małżeństwo.

W Polsce przy rozstrzyganiu kwestji „fakultatywności" czy „obligatoryjności" ślubów cywilnych nie można lekceważyć faktu istnienia w b. zaborze pruskim, w górnośląskiej części województwa śląskiego oraz na Orawie i Spiszu instytucji ślubu cywilnego w urzędzie stanu cywilnego, jako j e d y n e j formy obowiązującej.

Społeczeństwo polskie w powyższych dzielnicach z tym stanem rzeczy się zżyło, wobec czego powrót do obowiązkowego ślubu religijnego byłby krokiem wstecznym, stwarzającym dla znacznej części poznańskiego i pomorskiego społeczeństwa stan nie do zniesienia. I rzecz dziwna. Pomimo istnienia w b. zaborze pruskim od pół wieku ślubów cywilnych, pomimo przyzwyczajenia się do nich społeczeństwa, pomimo jednoczesnego względnie wysokiego, jak to wynika ze statystyki, stanu moralności w tym zaborze i znacznie mniejszego, niż gdzieindziej procentu rozwiedzionych lub nieżyjących z sobą małżeństw. ze sfer duchowieństwa katolickiego odzywają się wciąż głosy o mającym być rzekomo dokonywanym przez koncepcję ślubów cywilnych zamachu na Kościół, religię, wierność małżeńską, nierozerwalność węzła małżeńskiego, na moralność i t. p.

Z zagadnieniem obligatoryjności ślubów cywilnych łączy się kwestja odpowiednich urzędów stanu cywilnego oraz rejestracji. Nie może być Państwu obojętnem, kto będzie prowadził księgi aktów ślubnych, urodzeń i śmierci. Obecny stan rzeczy w tym względzie, graniczący z anarchją, kiedy każde wyznanie księgi stanu cywilnego po swojemu prowadzi — nie daje się poprostu pomyśleć w państwie nowoczesnem.

Jedynem racjonalnem rozwiązaniem powyższego zagadnienia byłoby ustanowienie w przyszłości zasady: jedna i ta sam forma zawarcia małżeństwa dla wszystkich obywateli Rzeczypospolitej bez różnicy wyznania. Taka forma cywilna nie mogłaby stać w sprzeczności z dochowywaniem przez wiernych poszczególnych wyznań dodatkowej formy kościelnej.

Za obligatoryjnemi ślubami cywilnemi ponadto przemawia ten argument, iż wyrabiają one poczucie obywatelstwa, słabo, jak dotychczas niestety w Polsce rozwinięte, wskazując, że wchodzący w związki małżeńskie są przedewszystkiem obywatelami Rzeczypospolitej.

Jedną z ujemnych stron ślubów cywilnych fakultatywnych jest również fakt istnienia przy tym systemie dwu rodzajów metryk, co urąga państwowym potrzebom statystycznym i jest niewykonalne praktycznie. Zatem tylko urząd cywilny powinien mieć sobie powierzony ten obowiązek. *).

Nasuwałoby się tutaj pytanie, czy podobne rozwiązanie nie pogwałci art. 114 naszej Konstytucji, głoszącego, że Kościół Rzymsko-Katolicki rządzi się własnemi prawami. Otóż, na to może być tylko jedna odpowiedź: w myśl tejże samej Konstytucji Państwo rządzi się swemi prawami również, zaś konkordat ze Stolicą Apostolską spraw tych bynajmniej nie przesądza.

Wszystkie niemal ustawodawstwa europejskie dopuszczają instytucję rozwodów; różnica i to dość znaczna, zachodzi atoli w ustanowionych mniej lub dalej idących ograniczeniach i formalnościach. Jeśli sekcja prawa cywilnego Komisji Kodyfikacyjnej wypowiedziała się w ogromnej większości za dopuszczalnością rozwodów dla obywateli wszystkich wyznań państwa, powodowała się niewątpliwie poważnemi względami konieczności zrównania w tej mierze pod względem praw różnowierców. Tutaj tylko wartoby zauważyć, że ograniczyć należałoby jego stosowanie do wypadków umotywowanych rzeczywiście ważkiemi powodami, leży bowiem w interesie i państwa i współczesnego społeczeństwa, by rozwód nie był łatwą formalnością. Jak wiadomo rozwód istnieje we wszystkich, poza katolickiem, wyznaniach religijnych, uznanych przez Państwo Polskie. Jest rzeczą notoryczną, że przy udzielaniu rozwodów wszystkie wyznania w Polsce rządzą się własnemi prawami. Tworzą one jakgdyby państwa w państwie, przyczem władza Rzeczypospolitej chyba tylko przypadkiem może mieć wzgląd na to, co się w konsystorzach tajnie postanowi i wykona. Tylko w takich, jak w Polsce, nieuporządkowanych stosunkach może istnieć na szeroką skalę rozpowszechniony handel wiarą, polegający na wykorzystywaniu odpowiednich kruczków w różnicach prawnych poszczególnych wyznań lub byłych trzech zaborów. Nawet kościół katolicki nie uznający rozwodów, a głoszący w swej nauce zasadę nierozerwalności węzła małżeńskiego, w praktyce zastępuje, najwidoczniej niezbędną w życiu instytucję rozwodu, instytucją unieważnienia małżeństwa. Samodzielność swą i niezależność od władzy państwowej w rozwiązywaniu po-

*) V. op. cit. str. 600. Argumenta dwóch członków sekcji prawa cywilnego Kom. Kod. (Bujaka i Marka).

szczególnych wypadków sądy biskupie rzymsko-katolickie posuwają tak dalece, że na zasadzie dekretu papieskiego *„Ne temere"* uznają niektóre śluby za nieważne i zezwalają małżonkom na wstąpienie w ponowne związki małżeńskie jedynie dlatego, że obrząd zaślubin odbył się tylko w kościele ewangelickim, a zaślubieni należeli do różnych wyznań...

Narzuca się zatem konieczna zasada zrównania i w dziedzinie rozwodów pod względem prawa wszystkich obywateli.

Jest jeszcze trzecie zagadnienie, to kwestja sądownictwa kościelnego. Obowiązujące po dziś dzień na terenie byłego Królestwa Kongresowego prawo małżeńskie z 1836 r., przewidując na szeroką skalę sądy poszczególnych wyznań, poddaje pod ich rozpoznawanie sprawy małżeństw katolików, prawosławnych, unitów, ewangelików. Tutaj dla ścisłości trzeba dodać, iż prawo to przez cara Mikołaja I zostało Królestwu narzucone i że sejmy polskie z lat 1818 i 1825 oświadczyły się przeciw jurysdykcji duchownej. Głos posłów polskich już zgórą sto lat temu uwzględniał doniosłość instytucji małżeństwa w życiu społeczeństw. Przed kodyfikatorem praw Rzczypospolitej staje kapitalne zagadnienie: czy pójść za wskazaniami teorji i praktyki Zachodu, czy urzeczywistnić należytą strukurę państwa nowoczesnego, czy też cofnąć się wstecz, przekreślić dokonaną już w byłym zaborze pruskim ewolucję, w Małopolsce i na Śląsku Cieszyńskim wprowadzić konsystorską jurysdykcję matrymonjalną, dotychczas pozostającą w rękach sądów kościelnych, zależnych bezpośrednio od Watykanu, przeciwko którym już w 1818 r. protestował sejm polski.

Niema żadnej obawy, ażeby unifikacja prawa małżeńskiego w Polsce w myśl powyższych wskazań mogła się odbić niekorzystnie na stosunkach Rzeczypospolitej ze Stolicą Apostolską. Francja, ta Francja, która tak ostro nieraz zadzierała z Papieżem — jeszcze przed III Republiką — i która przeprowadziła konsekwentny rozdział Kościoła od Państwa, wyzyskiwała znakomicie, jako czynnik wpływu politycznego, opiekę nad katolicyzmem na wschodzie. Na tym przykładzie francuskim widzimy, iż niema związku pomiędzy potęgą katolickiego państwa, a wykonywaniem wszelkich życzeń Watykanu.

Nie chodzi autorowi uwag niniejszych o walkę z katolicyzmem. Chodzi jedynie o zwrócenie uwagi na konieczność unowocześnienia dziedzin stanu cywilnego, prawa małżeńskiego i familijnego. To, co na zachodzie stało się już dawno dokonanym faktem, przebrzmiałym sporem, o co byłoby conajmniej naiwnością kruszyć kopje, u nas— wyrasta do potęgi podstawowych zagadnień moralności chrześcijańskiej, argumenta popleczników Kościoła zaczynają się i kończą na przylepianiu swym przeciwnikom etykiety masońskiej, poważne dyskusje sprowadza się na płaszczyznę walki z szatanem.

A jednak, jeśli się spojrzy w głąb perspektywy historycznej, to można sobie przypomnieć, że nie są tak znowu dawne czasy, kiedy Kościół Katolicki obejmował swą działalnością szkolnictwo i oświatę publiczną, szpitalnictwo i sferę dobroczynności. Zwycięska zasada sekularyzacji, usuwając z tych dziedzin Kościół, nie znosi go bynajmniej z powierzchni ziemi, nie zagraża jego istnieniu, nie podrywa jego autorytetu.

W chwili, kiedy polskie władze ustawodawcze zadecydują ostatecznie o zasadzie sekularyzacji, Kościół, opuszczając w ten sposób niewłaściwie do niego należące tereny świeckie, zdobyć będzie mógł tem większą powagę i uznanie w sferze duchownej i moralnej — dziedzinie życia religijnego.

Wacław Szyszkowski

W OBRONIE WŁASNYCH PRAW

O uregulowanie stosunków prawnych zawodu dziennikarskiego.

Na warsztacie komisji prawniczej Sejmu znalazła się ustawa o unormowaniu stosunków prawnych zawodu dziennikarskiego.

Zawód ten zajmuje w życiu publicznem jedną z czołowych pozycyj, a w kształtowaniu opinji odgrywa decydującą rolę. To też dużą wagę posiadać będzie projektowana ustawa, która ureguluje najbardziej palące sprawy tego zawodu.

Niestety jednak ustawa w brzmieniu projektu z dn. 22.V 28 r., opiekę swą roztacza nad częścią tylko dziennikarzy, znaczny ich odsetek pozostawiając poza nawiasem swych dobrodziejstw.

W artykule 1 czytamy bowiem:

„Dziennikarzem w rozumieniu niniejszej ustawy jest ten, kto stale i zawodowo współdziała w ujmowaniu i formułowaniu materjału przeznaczonego do umieszczenia w dzienniku lub czasopiśmie o charakterze dziennika, wydawanem conajmniej dwa razy w tygodniu, o ile zawód ten jest wyłącznem lub conajmniej głównem źródłem jego utrzymania".

A więc redakcyjni pracownicy tygodników nie są w rozumieniu projektu ustawy dziennikarzami i co więcej, dalej czytamy:

„Do wydawania legitymacji dziennikarskich są upoważnione tylko te związki zawodowe (syndykaty) dziennikarzy, które w swoich statutach mają zastrzeżenie, iż członkiem związku może być tylko dziennikarz, podlegający przepisom niniejszego rozporządzenia".

W ten sposób dziennikarze zatrudnieni w prasie tygodniowej pozbawieni są prawa należenia do Zw. Zawodowych i posiadania legitymacji dziennikarskiej, której projekt ustawy nadaje moc dokumentu publiczno-prawnego.

„Dziennikarze mają prawo za okazaniem legitymacji być obecni przy wszelkich aktach życia państwowego i samorządowego. Wszystkie władze winny w miarę możności ułatwiać mu wykonanie tego uprawnienia... Legitymacja dziennikarska wydana i poświadczona w sposób przewidziany w niniejszym artykule, stanowi dokument publiczny".

Kto zaś dokumentu tego jest pozbawiony, przed tym zamknięte są źródła wszelkich informacyj.

Tak pomyślana ustawa jest ciosem w bardzo szerokie rzesze zawodowych dziennikarzy pracujących w redakcjach tygodników i podcina byt temu wielkiemu i bardzo ważnemu odłamowi prasy.

Ustawa ta godzi pośrednio również w dobre imię dzien-

nikarstwa polskiego. Wszyscy bowiem pracownicy tygodników nadal będą pracować i legitymować się wystawianemi przez redakcje legitymacjami. Zamiast jednego typu legitymacyj i scentralizowania ich wydawania w rękach organizacji zawodowej, nadal kursować będą różnorodne legitymacje dziennikarskie, ułatwiając tylko robotę żerującym na dobrem imieniu dziennikarstwa szantażystom, t. z. „kawiarnianym redaktorom", z którymi nieuświadomione jednostki nieraz mogą nawet utożsamiać tych z pośród zawodowych dziennikarzy, którym ustawa odmówi prawa do legitymacji organizacji zawodowej.

Mimowoli ciśnie się na usta pytanie, dlaczego wnioskodawcy, którzy przecie sami są dziennikarzami, rozgraniczyli cały zawód dziennikarski na dwie części i roztaczając swą opiekę nad jedną z nich, obeszli się tak surowo z resztą.

Rozpatrywany obecnie projekt z dnia 22 maja 1928 r. wywodzi się z pierwotnego projektu złożonego do laski Marszałkowskiej 8 stycznia 1920 r., a następnie opracowanego przez komisje prawnicze pierwszego i drugiego naszego Sejmu.

Otóż w uzasadnieniu tego projektu, którego duchowym ojcem jest poseł Jan Dąbski czytamy między innemi:

> **„Potrzeba i możliwość szybkiego rozpowszechniania wiadomości sprawia, że z zakresu dziennikarstwa przychodzi wyłączyć inne publikacje perjodyczne jak kwartalniki, miesięczniki, tygodniki, a nawet pisma dwa lub trzy razy tygodniowo wydawane".**
>
> **„Dziennikarz jest korelatem polityki. Przez podawanie i naświetlanie wiadomości z dziedziny politycznej dziennik staje się instrumentem działań, spółtwórcą i wyrazicielem opinji, będącej potężnym czynnikiem życia publicznego".**

Słowem, wnioskodawcy, akcentując rolę dziennika, zupełnie nieproporcjonalnie pogłębiają różnicę jaka zachodzi pomiędzy pismem codziennem i wychodzącem rzadziej niż codzień. Nie negujemy iż różnice są poważne, ale stwierdzić trzeba jednocześnie, że nietylko dziennik informuje i urabia opinję. Czyni to każde perjodyczne wydawnictwo informacyjno-publicystyczne.

Tak jest na całym cywilizowanym świecie. Tak jest przedewszystkiem u nas w Polsce.

Nasza prasa codzienna ma naogół bardzo niskie nakłady i wąski zasięg. Na znacznych połaciach kraju nie przenika zupełnie poza miejskie opłotki i wcale nie dociera na wieś. Ludność wiejska, stanowiąca więcej, niż połowę ludności państwa, dzienników wcale nie zna i bieg życia publicznego śledzi wyłącznie z tygodników.

Zresztą również w miastach istnieje wiele bardzo nawet poważnych tygodników, które w stopniu nie mniejszym niż raz od dzienników wpływają na kształtowanie się opinji publicznej.

To też każdy działacz polityczny doskonale zdaje sobie sprawę, że nie tylko dzienniki, ale i inne czasopisma perjodyczne są „instrumentami działań, spółtwórcami i wyrazicielami opinji", osiągając przytem niejednokrotnie większą od wielu dzienników poczytność, a więc i skuteczność oddziaływania na opinję. Nawet nasze największe stronnictwa ludowe dziennikami nie rozporządzają i całą swą akcję prowadzą na łamach tygodników partyjnych.

Gdzie, jak gdzie, ale w Polsce, w kraju o tak słabo rozbudowanej sieci dzienników i tak wązkim w porównaniu z zachodnią Europą ich zasięgu, nie można współpracownikom perjodycznych pism informacyjno-publicystycznych odmówić miana „korelatów polityki", budowniczych opinji, słowem — dziennikarzy.

Jeśli to uczyniono — oparto się na dwóch przesłankach.

Przedewszystkiem na argumencie fonetycznym.

Skoro „dziennikarz", to znaczy się ten, kto pracuje w dzienniku!

Szkoda słów na dowodzenie, jak nierozsądną rzeczą jest przy określaniu fachu opierać się na brzmieniu słowa, wyrażającego jego nazwę, a nie na sprecyzowaniu istoty tego fachu. Nietrudno pozatem sprawdzić przez porównanie z innymi językami, że wyraz „dziennikarz" obejmuje grupę ludzi znacznie szerszą, niż tylko pracownicy pism codziennych. W dodatku sami wnioskodawcy byli tak dalece niekonsekwentni, że uczynili w zasadzie swej wyłom, zaliczając do grona „dziennikarzy" w rozumieniu projektu ustawy również współpracowników czasopism wychodzących conajmniej 2 razy w tygodniu.

Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, dlaczego współpracownik czasopisma wychodzącego 8 razy na miesiąc miałby prawo do miana „dziennikarza" i opieki ustawy, a współpracownik czasopisma wychodzącego 4 razy na miesiąc byłby tego miana i jego prawa pozbawiony.

Drugą przesłanką, którą wnioskodawcy brali pod uwagę przeprowadzając podział na dziennikarzy uznanych i nieuznanych było to, czy dany pracownik pióra informacje i wnioski swe formułuje w pośpiechu, czy też spokojnie, w jakiś czas po fakcie. Prawo do miana „dziennikarza" przyznano tym tylko z pośród nas, którzy mają na sformułowanie swych wiadomości i uwag najwyżej 1 dobę, tych uznano za śpieszących się.

Jednak trudno doprawdy za główną zasadniczą cechę zawodu dziennikarskiego uznać — pośpiech.

Cechą taką jest stała czujność, stałe trzymanie ręki na pulsie życia, wyścig za wciąż nowymi interesującymi czytelnika wiadomościami. Jest nią obowiązek nakazujący wszystko widzieć, słyszeć i wiedzieć.

A pozatem obowiązek zajmowania określonego stanowiska w stosunku do zjawisk życia publicznego i wywierania w myśl swych zasadniczych wskazań odpowiedniego wpływu na opinję.

Musimy zgodzić się, że w tem rozumieniu niema żadnej różnicy pomiędzy współpracownikami dzienników, a współpracownikami innych czasopism informacyjno - publicystycznych.

I to jest rzeczą zasadniczą. A to, czy na wykonanie swego zawodu mamy mniej czy więcej czasu jest kwestją techniczną, jest kwestją podziału dziennikarzy na różne kategorje.

Podobnie więc jak argument fonetyczny, nie wytrzymuje krytyki i drugi argument wnioskodawców.

Mówi się jeszcze w uzasadnieniu o tem, że praca w dzienniku całkowicie absorbuje człowieka i nie pozwala na żadne inne zajęcie, wówczas, gdy można być redaktorem tygodnika, a jednocześnie praktykować jako lekarz czy adwokat. Niezawodnie role te można połączyć. Ale przecież znamy również wielu starszych współpracowników dzienników, nawet członków redakcji, którzy poza dziennikarstwem z powodzeniem zarabiają w innych dziedzinach. Czy dlatego mielibyśmy wysnuć wniosek, iż żadnego pracownika dzienników nie można traktować jako zawodowego dziennikarza?

Zupełnie tak samo z tygodnikami.

Obok wielu dziennikarzy z amatorstwa, fantazji czy przypadku zatrudniają one całe rzesze zawodowych dziennikarzy.

Istnieje liczny zastęp pracowników pióra, dla których zajęcie redaktora naczelnego, technicznego lub sekretarza redakcji czasopism perjodycznych jest jedynem lub głównem źródłem dochodu. Jest fachem równie dobrym i równie wyłącznym, jak fach dziennikarza z prasy codziennej.

Ci ludzie tak samo należą do grona wiecznie głodnych nowych informacji, do szeregów budowniczych i sterników opinji.

Przedewszystkiem zaś ci ludzie mają takie same kłopoty i troski zawodowe, takie same zatargi i nieporozumienia ze swemi pracodawcami, jak je mają współpracownicy pism codziennych.

To też jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że wówczas, gdy Zw. Wydawców Dzienników rozszerzył się i objął swemi ramami wydawców wszystkich czasopism, projekt ustawy zredagowany przez posłów-dziennikarzy znaczny odłam pracowników pióra pozostawia poza nawiasem ochrony prawnej i poza ramami zorganizowanego dziennikarstwa.

A przecież nie przemawia za tem żaden wzgląd zasadniczy!

Przeciwnie, w interesie zawodu dziennikarskiego leżeć powinno objęcie działaniem ustawy całej wielkiej rodziny dziennikarskiej, a nie jego części.

Niestety jednak syndykaty nie przyjmujące do swego grona współpracowników czasopism wychodzących rzadziej niż dwa razy na tydzień nie zamierzają występować w ich obronie, a oni sami nie będąc zorganizowani nie mogą sami jednolitej i zdecydowanej przeprowadzić akcji.

Jedynie dziennikarze sportowi zrzeszeni są w swój związek. To też oni pierwsi podjęli akcję zmierzającą do takiej zmiany redakcji 1 art. ustawy, żeby objęła ona nietylko współpracowników pism codziennych.

Delegaci Związku Publicystów i Dziennikarzy Sportowych opracowali projekt odpowiedniej poprawki i łącznie z obszernym memorjałem złożyli go na ręce Pana Marszałka Sejmu. Odbyli następnie szereg konferencji z członkami podkomisji prawniczej, która rozpatrywać będzie projekt ustawy, i nie ustają w zabiegach wokół tej sprawy, która jest wspólną sprawą wszystkich współpracowników tygodników.

Zmiana proponowana przez Z. P. i D. S. idzie w tym kierunku, by za dziennikarza uważać każdego, kto stale i zawodowo conajmniej od 2 lat współdziała w ujmowaniu i formułowaniu materjału redakcyjnego, przeznaczonego do umieszczenia w a) dzienniku, b) komunikacie agencji prasowej i c) w czasopiśmie informacyjno - publicystycznem, o ile zawód dziennikarski jest dla niego wyłącznem lub głównem źródłem utrzymania.

Dopiero przyjęcie tego rodzaju poprawki nada ustawie właściwe znaczenie, gdyż w obecnem swem brzmieniu może ona zadowolić tylko część wielkiej gromady dziennikarskiej.

J. Szyszko-Bohusz

Z ŻYCIA ORGANIZACYJNEGO.

Z GENERALNEJ FEDERACJI PRACY

UROCZYSTA AKADEMJA Z OKAZJI IMIENIN MARSZ. PIŁSUDSKIEGO.

W dniu 17 marca dla uczczenia Wodza Narodu, Marszałka Piłsudskiego, Generalna Federacja Pracy zorganizowała z okazji Jego imienin uroczystą akademję dla rzesz pracujących Warszawy.

Przy przepełnionej sali Cyrku w obecności kilkutysięcznej rzeszy członków G. F. P. ob. A Bek, przewodniczący Koła Warszawsk. Sp. Akc. Budowy Parowozów, w podniosłych słowach zagaił uroczystość. Na przewodniczącego powołano ob. Gawlika.

Pierwszy zabrał głos ob. poseł Kościałkowski, który w gorącem przemówieniu podniósł rolę i zasługi twórcy Niepodległości, Marszałka Józefa Piłsudskiego. Następny z kolei mówca ob. pos. R. Tomczak zobrazował na tle wielkiej i twórczej pracy Pierwszego Obywatela Polski, olbrzymie znaczenie Jego wysiłków dla klasy pracującej w Polsce.

W części artystycznej ob. Kostka wypowiedział utwory poetyckie na cześć Komendanta, następnie znany chór Wydziału Nauczycielskiego Konserwatorjum Muzycznego pod batutą prof. Kazury odśpiewał kilka pięknych pieśni okolicznościowych.

Wielka powaga i głębokie skupienie, połączone z serdecznem zespoleniem się kilkutysięcznego audytorjum w jedną duchową całość, stwarzały podniosły nastrój, odpowiadający głębokiemu umiłowaniu Kochanego Wodza przez polski lud pracujący.

*

W dniu 19 marca Generalna Federacja Pracy wzięła udział wespół z wszystkiemi wchodzącemi w jej skład organizacjami w wielkim pochodzie z placu Marszałka Piłsudskiego do Belwederu, gdzie przedstawiciele poszczególnych organizacyj złożyli życzenia dla nieobecnego Komendanta na ręce pp. Jana i Stefana Piłsudskich.

Olbrzymi ten pochód, przy udziale kilkunastotysięcznej rzeszy robotników i pracowników, wznoszących co chwila okrzyki na cześć Twórcy Niepodległości i Budowniczego Nowej Polski był istotnym wyrazem przywiązania ludu pracującego do osoby Marszałka Piłsudskiego, w którym lud ten widzi ucieleśnienie swych odwiecznych dążeń ku potędze i niezależności.

DALSZY ROZWÓJ G. F. P.

Do Generalnej Federacji Pracy przyłączył się w charakterze członka nowy Związek Zawodowy Pracowników Państwowych na Drogach Wodnych. Na Górnym Śląsku, obok Federacyj metalowców i górników powstały oddziały Federacji Pracy przemysłu chemicznego i tytoniowego (Wodzisław).

POSEŁ G. ZIELIŃSKI SEKRETARZEM GENERALNYM G.F.P.

Wobec ustąpienia ob. Ruszczewskiego ze stanowiska sekretarza gen. na jego miejsce został wybrany znany i cieszący się ogólnem zaufaniem w sferach pracowniczych poseł Gustaw Zieliński.

ZE ZJEDNOCZENIA PRACY WSI I MIAST

Dnia 9 b. m. odbyło się w Żyrardowie w resursie fabrycznej drugie Walne Zgromadzenie członków miejscowych organizacyj Związków Naprawy Rzplitej i Partji Pracy, na którem po przyjęciu sprawozdań likwidacyjnych zostało dokonane połączenie tych organizacji pod nazwą Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast. Jednocześnie wybrano Zarząd Dzielnicowy Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast, do którego powołano pp. inż. Goszcza Stanisława, Karpińskiego Jana, Krauzego Juljana, kier. szk. Plewińskiego Walentego, Rajna Emila, mec. Strzałkowskiego Seweryna, Targowskiego Henryka, dyr. gimn. Zdanowskiego Eugenjusza, na zastępców zaś pp. Bednarskiego Stanisława i Jaworowskiego Stefana.

Lokal Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast mieści się przy ul. 1-go Maja Nr. 55.

RECENZJE I SPRAWOZDANIA:

NIEMCY, PRUSY A POLSKA

W stosunkach pomiędzy narodami zabagnionych tysięcznemi nieporozumieniami, powstałemi na tle fałszywych wyobrażeń, niesłychanie ważnem będzie wyjaśnienie wielu kwestyj, postawienie ich na gruncie racjonalnego rozumowania.

Niema więc sprawy, którąby była więcej zagmatwana wpływem różnorodnych czynników, jak stosunek Polski do Niemiec. Składają się na to względy natury historyczno - politycznej, ekonomicznej a nawet psychologicznej. Te ostatnie bowiem, o ile wejdą w system myślenia całego narodu, są jeszcze bardziej rozstrzygające, niż posunięcia warstw rządzących. A już od czasów rozbiorów Polski tak historycy, jak twórcy systematów filozoficznych w Niemczech starali się udowodnić, że pochłonięcie ziem przyległych do Prus było wynikiem ich misji dziejowej, polegającej na symbolizowaniu krajów wschodnich, zamieszkałych przez ludność polską lekkomyślną, niezaradną, nie posiadającą warunków na trudne, samodzielne istnienie.

Czy jednak całe Niemcy są objęte tą teoretycznie im narzuconą psychozą, pociągającą za sobą w naturalnej konsekwencji rosnący wciąż militaryzm, który dążył poprzednio do utrzymania i rozszerzania zdobyczy a obecnie do ich odzyskania?

Na to zasadnicze, bo wyrokujące o przyszłym układzie stosunków w środkowej Europie pytanie, stara się odpowiedzieć w swej niezmiernie interesującej książce p. t. *Niemcy, Prusy a Polska* p. *Emil Ruecker* *).

*) Emil Ruecker: Niemcy, Prusy, a Polska. Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawn.

Otóż twierdzi on, że zmiany nastrojów w Niemczech nie można opierać na słabym i nie sięgającym głębiej ruchu pacyfistycznym, (pismo „Menschheit“ ma bowiem zaledwie parę setek płatnych abonentów), ale raczej na akcji odśrodkowej, zarysowującej się coraz wyraźniej wśród państw, składających się na Rzeszę, którym coraz bardziej ciąży hegemonja pruska. Jak zawsze w Niemczech a nawet i gdzieindziej, każdy żywszy ruch polityczny czy społeczny znajduje swoich prekursorów w autorach odnośnych dzieł i rozpraw. Z ideją więc Bismarka jednoczącą Niemcy, a właściwie podporządkowują je pod militarny régime pruski, rozprawił się niemal że stanowczo genjalny współczesny pisarz niemiecki *Ludwig*, który nie zawahał się zerwać nimbu z tej rzekomej wielkości, dając tem poniekąd hasło do rewizji dotychczasowych złudzeń. Dalszy proces separatystyczny postępuje drogą zaostrzających się rozbieżności administracyjnych, ekonomicznych a także i zasadniczych różnic psychicznych, urobionych wśród ludności poszczególnych krajów wiekami ich odrębności politycznej. P. Ruecker przypomina ich żywą sympatję dla Polski po klęskach 1831 r., zapał rewolucyjny 1848 r. ogarniający nawet jeszcze wówczas nie sprusyfikowany Berlin, ale nadewszystko przytacza objawy współczucia, świadczące aż nadto wyraźnie o niesolidaryzowaniu się południowych i środkowych Niemiec z metodami hegemonji pruskiej. Powstaje cały szereg planów, mających na celu jej zwężenie i okrojenie, a przeciwnicy tworzą szereg grup mniej lub więcej wpływowych. Walczą one z przeciwnikiem b. silnym, choćby z tego względu, że obszar Prus obejmuje 291,700 klm. i 38,054,000 mieszkańców, co daje im stanowczą przewagę nad innemi, znacznie mniejszemi krajami Rzeszy Niemieckiej. Nietrudno jest jednak odkryć, że ten kolos oparty na niezreformowanym przez pozorny dotychczas ustrój republikański, duchu militarnym, ma słabe strony, grożące nietylko całości zjednoczonych Niemiec, ale także ich dalszym warunkom rozwojowym. Za główny czynnik hamujący uważana jest owa centralizująca wola, na której Bismark oparł rzekomą potęgę państwa, a której przeciwstawia się coraz silniej występująca obecnie idea federalistyczna, a także wyżej zaznaczone różnice psychiczne, występujące szczególniej pomiędzy południowemi i północnemi Niemcami, tak jak niegdyś pomiędzy Atenami a Spartą. Charakterystycznem jest, że dążenie do Anschlussu, zdaje się wzmagać akcję separatystyczną, czego wyrazem jest na szeroką skalę zakrojony projekt poważnego polityka niemieckiego dr. *Külza*, który dostał się do wiadomości publicznej w 1927 r. Dzieli on dzisiejszą Rzeszę na 4 państwa związkowe: Niemcy północne stworzone z dzisiejszych Prus, Niemcy Środkowe obejmujące Saksonję, Turyngję, Hesję, oraz znajdujące się na ich gruncie pruskie enklawy, Niemcy Południowe, składające się z obecnych państw południowo - niemieckich i z Austrji niemieckiej, czyli dzisiejszej Republiki austryjackiej. Dodać należy, że federaliści tej grupy mają do swego rozporządzenia dość poważną organizację z siedzibą w Kassel, a nawet swoich przedstawicieli w Reichstagu. Pozatem istnieje inny plan federalistyczny, podług którego Niemcy

wielko - pruskie przeszłyby w formę „związku krajów historycznych".

Oprócz tendencji załatwienia „problemu pruskiego" w sposób iście drakoński aż do powiedzenia: „o ile Niemcy mają żyć, Prusy zginąć muszą", istnieją plany przekształcenia dzisiejszego państwa pruskiego w *Reichsland*, t. j. w prowincję podlegającą bezpośrednio gabinetowi Rzeszy i Reichstagowi, a wreszcie spotykamy pomysły łagodniejsze, reorganizacyjne jedynie, uznające dotychczasowy stan posiadania, ale zmieniające stosunek personalny sfer rządzących. Różnorodne te akcje pochodzą od korporacyj i od poszczególnych polityków i zmusiły wreszcie rząd niemiecki do zajęcia względem nich stanowiska. Zwołana została z początkiem 1928 r. *Laederconferenz* do Berlina, która odbyła się w tej sali, co pamiętny kongres berliński 50 lat temu.

Konferencja jednak nie doprowadziła do pożądanych rezultatów. Jeden tylko prezydent Wirtembergji wystąpił z ostrem zaznaczeniem odrębności poszczególnych krajów i z jaskrawem podkreśleniem militaryzmu pruskiego „prowokującego burzę wojenną w Europie".

I na to niebezpieczeństwo zwraca uwagę autor „Niemiec, Prus a Polski" i wykazuje na podstawie cyfr i dokumentów z pism niemieckich rozmiary wojennych przygotowań niemieckich. Interesuje nas przedewszystkiem działalność *Jungdeutschlandsorden* zwrócona w kierunku odciągnięcia Francji od sojuszu z Polską. Dalszem rozwinięciem tego planu jest przeciwstawienie się ugodzie z Litwą, utrudnianie traktatu handlowego z Niemcami, propaganda i usiłowania w kierunku pozbawienia nas dostępu do morza i t. d.

Czy to wszystko jest groźne dla naszej przyszłości? Przesłanki p. Rueckera brzmią raczej uspakajająco. Wybuch wojny byłby ostatecznym ciosem dla Prus, a dla innych krajów Rzeszy raczej momentem wyzwalającym. Sojusz z Bolszewją spoczywa na kruchych podstawach i nie potrafi jej zwrócić z jej drogi, na dalszy Wschód zwróconej, szerszemu zaś rozrostowi hegemonji pruskiej całemi siłami oparłaby się Europa zachodnia.

Polska może tylko w jeden sposób uzyskać przewagę w tej od wieków trwającej rozgrywce z zachłannością pruską. Oto wtedy gdy oprze swój ustrój o *sprawiedliwość społeczną i narodowościową* i wzmocni swoje siły wewnętrzne. Wtedy przeciwnik liczyć się z nią będzie musiał, a mnożą się oznaki, że się już liczyć zaczyna.

I. W. K

DROGA NR. 1

Wydany ostatnio numer „Drogi", obejmujący ośm arkuszy druku, zawiera szereg niezmiernie interesujących prac i artykułów, z których na plan pierwszy wysuwa się rozprawa prof. St. Zakrzewskiego na temat tak aktualny, jak „Zagadnienie ustroju państwa i rządu w dziejach Polski". Wziąwszy za podstawę dzieło M. Bobrzyńskiego, prof. Zakrzewski w bardzo subtelnej analizie ukazuje, jak się zagadnienie to rozwijało w ciągu wieków, i dochodzi w końcu do wniosku, że nietylko silny rząd i wielka armja stanowią gwarancję potęgi państwa. Polityce płac jako zagadnieniu ekonomicznemu poświęca szeroko zakrojoną rozprawę J. Wojtyna, z dużem znawstwem oświetlając wielostronnie tę tak aktualną i ważną dla dzisiejszego życia gospodarczego kwestję. Znany publicysta angielski Dawid B. Jones ogłasza specjalnie dla „Drogi" napisane studjum o „Fabianizmie i Fabianach", przedstawiając dzieje tego ciekawego ruchu aż po rozgorzałą ostatnio walkę pomiędzy fabianizmem a antietatystycznym socjalizmem cechowym.

W dziale poświęconym zagadnieniom kulturalnym znajdujemy rozprawę Karola Szymanowskiego „O romantyzmie w muzyce", w której znakomity nasz muzyk przeprowadza głęboką choć bezwględną krytykę tego kierunku w muzyce, ukazując, jak Chopin, Schubert czy Beethoven nie mogą pomieścić się w programowych ramkach romantyzmu. A. Zieleńczyk zajmuje się zagadnieniem filozofji narodowej, zaś H. Drzewiecki poświęca dużą rozprawę teorjom estetycznym znanego pisarza katolickiego, ks. H. Bremonda, którego książki o poezji zyskały światowy rozgłos. Dział ten uzupełnia nowela świetnego autora „Pod słońcem szatana", J. Bernanosa p. t. „Dialog cieni" oraz wiersz S. Karpińskiego „U Norwida", zaś w rubryce „Z życia zagranicy" znajdujemy treściwe studjum St. Grędzińskiego o Bernanosie oraz niezmiernie ciekawe uwagi znakomitego powieściopisarza niemieckiego H. Manna na temat współczesnych „czasów i sztuki".

Resztę numeru wypełnia sprawozdanie z ruchu plastycznego, pióra K. Winklera, oraz omówienie szeregu książek, m. in. J. Kucharzewskiego („Od białego do czerwonego caratu", tom III) oraz A. Wierzbickiego („Zagadnienie etatyzmu i neoetatyzmu).

BRZĄSK Nr. 3.

Ukazał się ostatnio 3-ci numer organu Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej p. t. „Brzask". Numer ten, jak i poprzednie, daje żywy i bogaty obraz życia młodzieży akademickiej. W części artykułowej znajdujemy wstępny artykuł, poświęcony Marszałkowi Piłsudskiemu. Myśl przewodnia artykułu streszcza się w zdaniu ostatniem: „Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu — że przerwał tragiczne koło anarchji i nierządu, w jakiem zamykało się od trzech wieków życie Polski, składamy najgłębszy hołd".

Następne dwa artykuły stanowią ekspozycję socjalnych założeń Związku, atakujących problemy zarówno świata pracy w przemyśle, jak i szeroko pojętego ruchu ludowego.

Numer ten przynosi w dalszym ciągu bogaty materjał z II-go Zjazdu Związku w Krakowie. Znajdujemy więc piękne przemówienie senjora Związku Z. Lechnickiego, a dalej uchwały Zjazdu, imponujące swoją rozpiętością, świadczące o poważnem i głębokiem przygotowaniu się Związku do podejmowania prac, jakie przed nim stoją.

Wśród uchwał na pierwszy plan wysuwają się głęboko przemyślane uchwały, odnoszące się do pogłębienia i intensyfikacji pracy wewnętrznej Związku, dalej uchwały w sprawie reorganizacji podstaw życia akademickiego, wreszcie uchwały, odnoszące się do pracy społecznej Związku na terenie robotniczym i wiejskim.

W dalszym ciągu numeru znajdujemy bogaty dział z życia samopomocowego, przynoszący krytykę absurdów organizacyjnych, utrudniających sprawne funkcjonowanie skomplikowanego aparatu Centrali Bratnich Pomocy. Dział ten uzupełnia szereg ciekawych sprawozdań z poszczególnych Bratnich Pomocy.

Dział p. t. Uniwersytety i Życie naukowe przynosi szereg informacyj o działalności Kół naukowych i t. d.

W dziale „Literatura i Sztuka" znajdujemy interesujący artykuł J. Korpały, przynoszący ciekawe rozważania na temat, czy w życiu naszem większą rolę winien odgrywać racjonalizm, czy też romantyzm.

Dział organizacyjny przynosi sprawozdania z prac Związku, wykazujące ciągły wzrost organizacji i intenzywność prac na wszystkich terenach.

Należy wyrazić wielkie uznanie Związkowi Polskiej Mł. Demokratycznej, że potrafi utrzymać w dzisiejszych trudnych warunkach pismo poważne, będące żywym objawem rzetelnej pracy, jaką Związek prowadzi, przygotowując rzesze akademickie do przyszłej pracy państwowej.

CENA OGŁOSZEŃ:

Nadesłane (1 strona) zł.	800.—
1 strona zwykle . . „	600.—
1/2 „ . . . . . „	320.—
1/4 „ . . . . . „	175.—
1/8 „ . . . . . . „	90.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy Swiat 21, tel. 339-94
Konto P. K. O. — 13.044

CENA PRENUMERATY:

Rocznie . . . . . zł.	18.—
Półrocznie . . . . „	9.—
Kwartalnie . . . . „	4.50

Redaktor i wydawca: *Jerzy Szurig* **Redaktor odp.:** *Jan Zimosz*

Drukarnia „KADRA", ul. Długa 50, tel. 186-30.